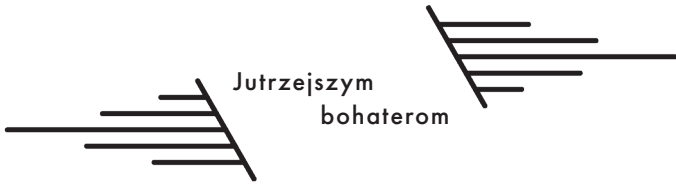


PODRÓŻ W NIEZNANE  
**WONDERSCAPE**

JENNIFER BELL

:DWUKROPEK





Jutrzejszym  
bohaterom

Tytuł: *Podróż w nieznanne. Wonderscape*

Tytuł oryginalny: *Wonderscape*

Autor: *Jennifer Bell*

Ilustracja na okładce: *Paddy Donnelly*

Przekład: *Irmina Grzegorzówka*

Kierownik redakcji: *Katarzyna Biegańska*

Redakcja: *Aleksandra Stronkowska, Katarzyna Biegańska, Magdalena Marczevska*

Korekta: *Studio Melanż*

Skład i łamanie: *Paweł Kowalski*

Text © 2020 Jennifer Bell

Cover illustrations © 2020 Paddy Donnelly

Reproduced by permission of Walker Books Ltd, London SE11 5HJ

[www.walker.co.uk](http://www.walker.co.uk)

Published by arrangement with Walker Books Limited, London SE11 5HJ.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced, transmitted, broadcast or stored in an information retrieval system in any form or by any means, graphic, electronic or mechanical, including photocopying, taping and recording, without prior written permission from the publisher.

Polish edition © copyright by Wydawnictwo Juka-91, 2021.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji bez pisemnej zgody wydawcy zabronione.

ISBN 978-83-8141-297-1

**:DWUKROPEK**

[www.dwukropek.com.pl](http://www.dwukropek.com.pl)

Wydawnictwo Juka-91 Sp. z o.o.

ul. Jutrzenki 118

02-230 Warszawa

infolinia 800 650 300

[kontakt@dwukropek.com.pl](mailto:kontakt@dwukropek.com.pl)



Krasnale wybuchły wcześniej rano, kiedy Artur był już spóźniony do szkoły.

Biegając wzdłuż domów swoich sąsiadów, chłopak skręcił w uliczkę prowadzącą przez osiedle Peacepoint Estate i zrównał się ze starym domkiem pod numerem dwudziestym siódmym. Nagle dało się słyszeć głośne „bum!”, po czym z ogródka przed domem wystrzeliła kanonada jaskrawo kolorowych pocisków.

– Co jest...

Oślanając się szkolną bluzą, Artur kucnął przy ogrodzeniu numeru dwadzieścia siedem i zajrzał przez szczelinę w płocie. Chciał zrozumieć, co się dzieje.

A działa się sporo. Z jakichś tajemniczych przyczyn ogromna kolekcja uśmiechniętych ogrodowych krasnali o rumianych policzkach – z których część siedziała na muchomorach, a część pchała taczki lub łowiła ryby w stawie – samoczynnie eksplodowała, jeden po drugim. Artur mógł się jedynie domyślać, że stanowiły część systemu odstrasżającego szkodniki, który musiał się popsuć;

zanim jednak sprawdził swoją teorię, w uszach poczuł narastające ciśnienie, a wszystkie szyby w znajdujących się w budynku oknach roztrzaskały się w drobny mak. Chłopak ponownie usłyszał potężne „bum!”, od którego zatrzęsała się ziemia. Drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów i zakręciły kilka piruetów na trawniku przed domem.

Na ucieczkę było już za późno. Fala uderzeniowa trafiła Artura w pierś z siłą rozbujanego worka treningowego, wyciskając mu z płuc całe powietrze. Chłopak poleciał do tyłu i upadł na jezdnię. Skrzywił się, gdy poczuł, jak zawartość plecaka wbija mu się w żebra.

– Yhy! Auuu!

Wylądował na boku, z policzkiem przyciśniętym do zimnej żeliwnej pokrywy studzienki kanalizacyjnej. Szczękę przeciął mu ból i w ustach poczuł krew.

– Ech...

Powoli uniósł i pomasaował rękę. Przynajmniej kończyny działały jak trzeba.

Pomimo niepokojącego dzwonienia w uszach chłopak się podniósł. Większość podjazdów przed domami sąsiadów była pusta, więc założył, że wszyscy pojechali już do pracy. Wytarł obtarte dłonie w skraj koszuli i przyjrzał się dokładniej numerowi dwadzieścia siedem. Dom miał takie same ściany z czerwonej cegły i omszałe dachówki jak inne budynki na tym osiedlu, ale odgradzony był od nich z jednej strony przerośniętym żywopłotem, a z drugiej obskurną uliczką.

„Dziwne” – pomyślał. W domu nie było widać żadnych śladów ognia ani dymu. Artur usiłował przypomnieć sobie, czy w poprzednim semestrze omawiali w szkole na lekcjach fizyki temat fali uderzeniowej – zwykle przykładał się do nauk ścisłych, które stanowiły jego konik.

– Hej! – Chłopak podskoczył na dźwięk czyjegoś miłego głosu.  
– Widziałeś to?

Z uliczki biegnącej obok domu machała do Artura wysoka dziewczyna o turkusowych włosach zaplecionych w warkocz. Oprócz szkolnego mundurka miała na sobie przewieszoną przez ramię skórzaną torebkę i wykończone koronką skarpetki wystające znad brogów. Artur natychmiast ją rozpoznał, chociaż nie miał pojęcia, co tam robiła. Cecily Madaki nie mieszkała na osiedlu Peacepoint Estate, zresztą podobnie jak inne popularne w szkole dzieciaki.

– Wszystko w porządku? – zapytała, ruszając w jego stronę. – Co się tutaj stało?

– Yyy... – Artur zaszurał stopami po chodniku. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Cecily, a nieznajomi sprawiali, że zaczynał się stresować. Patrzył, jak dziewczyna skręca za róg ogrodu, a szara spódniczka szeleści jej wokół kolan. Tak naprawdę wiedział o niej tylko tyle, że jej rodzice to para słynnych fryzjerów. Pewnie dlatego Cecily cały czas zmieniała uczesanie – w ubiegłym tygodniu miała na głowie afroirokeza w kolorze różowej waty cukrowej.

– Pytałam, czy wszystko w porządku – powtórzyła, zatrzymując się blisko niego. – Upadłeś.

– Widziałaś to?

– Nie, ale na policzku masz napis „Wodociągi miejskie” odbity taką samą czcionką jak tamta. – Wskazała na pokrywę od studzienki na skraju jezdni.

„Świetnie” – pomyślał Artur i pospiesznie potarł policzek.

– Nie wyglądasz na rannego – stwierdziła, patrząc uważnie na jego mundurek. – Na pewno wszystko okej?

Artur się wyprostował, tak by jego bluza wyglądała na nieco lepiej dopasowaną. Jak na swój wiek był przeciętnego wzrostu, jednak szczuplejszy niż większość chłopaków w klasie. To, że musiał nosić ubrania, które były na niego za duże, wcale nie poprawiało jego wyglądu. Marzył, by chociaż raz zacząć rok szkolny w nowym mundurku tak jak inni, i nie czuć skrępowania.

– Nic mi nie jest. – Ponownie spojrzął na dom. – Nie jestem pewien, co się właściwie wydarzyło. Jakaś eksplozja?

– No co ty, serio? – powiedział kolejny głos.

Zza kubłów na śmieci wyłoniła się drobna dziewczyna w poplamionych smarem szkolnych spodniach i wojskowych butach. Długie kruczoczarne włosy związane miała wysoko w kucyk, a gęsta grzywka zasłaniała jej połowę twarzy.

– Pod numerem dwadzieścia siedem nikt nie mieszka – powiedziała, otrzepując z kolan brud. – Wybuch prawdopodobnie spowodowała pęknięta rura kanalizacyjna.



– Nikt nie mieszka? – Artur widział ją kilka razy siedzącą samotnie z tyłu klasy na lekcjach geografii, nie wiedział jednak, jak się nazywa. – Skąd wiesz?

– Znikąd. Mieszkam na następnej ulicy, a tył mojego ogrodu styka się z ogrodem numeru dwadzieścia siedem. – Dziewczyna podeszła do bramy, przyglądając się szczątkom krasnali. Duże orzechowe oczy podkreśliła czarną kredką, co dodawało jej spojrzeniu intensywności. – W środku nigdy nie pali się światło, a ogród jest zarośnięty jak dżungla. Sprowadziliśmy się tu niedawno, dlatego nie wiem, od jak dawna ten dom stoi pusty.

Artur ponownie spojrzął na budynek. Trawnik zarastał chwastami, a próg był czarny od brudu. Jeśli się nad tym zastanowić, w zasadzie nigdy nie widział w środku żadnego mieszkańca...

– Masz na imię Ren, prawda? – zapytała Cecily, uważnie przyglądając się dziewczynie. – Ren Williams? Oprowadzałam cię do szkoły w pierwszym dniu zeszłego semestru.

Ren skrzyżowała ramiona na piersi, przybierając niewzruszony wyraz twarzy.

– Zgadza się. Ty jesteś Cecily.

„Ren Williams, ta nowa...” – przypomniało się Arturowi.

Wiedział już, kim jest. Słyszał na jej temat dwie plotki. Po pierwsze, podobno wyrzucono ją z poprzedniej szkoły za przejechanie motocyklem przez stołówkę, po drugie – na trzynaste urodziny zrobiła sobie tatuaże na knykcjach. Artur ukradkiem zerknął na jej dłonie, by przekonać się, czy to prawda. Faktycznie zobaczył

cztery ciemnobrązowe symbole – skórę dziewczyny zdobyły kier, trefl, pik i karo.

– A ty to kto? – zapytała Ren, patrząc na Artura.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo.

– Artur Gillespie. Mamy razem geografę.

Trzeba było mieć jego fart, żeby uciąć sobie pogawędkę z dwiema najbardziej onieśmielającymi dziewczynami w szkole. Zazwyczaj starał się unikać innych osób i zadowalał się własnym towarzystwem. W ten sposób ograniczał pytania o swój mundurek oraz ryzyko, że zrobi z siebie głupka.

– No dobrze – powiedziała Cecily, otwierając swoją torbę. – Ponieważ w dalszym ciągu nikt się nie pojawił, przypuszczam, że ktoś z nas powinien zadzwonić na policję.

Wyciągnęła z torby telefon w etui ozdobionym mangą i dotknęła ekranu. Zdążyła tylko przyłożyć go do ucha, kiedy z domu pod numerem dwudziestym siódmym dobiegło ich smutne zawodzenie.

Artur zeszywniał. Brzmiało to jak wycie psa.

– Widziałaś kiedyś w pobliżu tego domu jakieś zwierzę? – zapytał Ren.

– Dzisiaj rano po ogrodzie biegał mały biały pies – przyznała, marszcząc brwi. – Myślałam, że to pies innych sąsiadów. Myślisz, że coś mu się stało podczas wybuchu?

Cecily opuściła telefon.

– Operator... – Wycie sprawiło, że urwała w połowie zdania. – Coś jest w środku! Szybko, musimy mu pomóc.

Bez zastanowienia otworzyła furtkę i lawirując między szczątkami krasnali, zaczęła biec w kierunku domu

– Zaczekaj! – Artur pospieszył w jej ślady. – Nie możesz wejść do środka, to zbyt niebezpiecznie. A jak nastąpi kolejna eksplozja?

– Dlatego właśnie musimy się pospieszyć.

– Tak, ale... – Artur poczuł sztywnienie w karku, słysząc ponowne, słabsze już wycie psa. Nie potrafił go zignorować. Obejrzał się na Ren, która stała przed furtką z założonymi rękami. – Idziesz?

Mamrocząc coś pod nosem poirytowanym tonem, pomaszerowała za nimi.

Gdy przedzierali się przez trawę, Cecily rozmawiała głośno przez telefon. Jej pewny siebie głos przywodził Arturowi na myśl dyrektora ich szkoły.

– Nie, nic nam nie jest. Tak, w porządku... Nie jesteśmy pewni... Dobrze, dziękuję. – Rozłączyła się. – Policja ma nasze namiary. Są w drodze.

Artur zastanawiał się, czy polecono jej trzymać się w bezpiecznej odległości od budynku. Prawdopodobnie tak. Rozejrzał się dookoła, czy któryś z sąsiadów odważył się wyjść na zewnątrz, i zauważył starszego pana rozmawiającego z ubraną w szlafrok kobietą w zaawansowanej ciąży. Oboje pokazywali na budynek, jednak żadne z nich nie próbowało nawet podejść bliżej.

– No to jak daleko stąd jest twój dom? – zapytała Cecily, przeskakując nad resztkami drzwi wejściowych numeru dwadzieścia siedem.

Idąc za nią, Artur starał się omijać wzrokiem pozbawione głów korpusy krasnali.

– Zaraz przy końcu następnej ulicy. To osiedle nie jest znowu takie duże. – Spojrzał na nią z ukosa, po raz kolejny zastanawiając się, co robiła w tej okolicy. – Nie widziałem cię wcześniej na Peacepoint. Myślałem, że mieszkasz po drugiej stronie miasta.

Cecily westchnęła.

– Tak, ale tutaj mieszka moja ciotka. Zostaję z nią, kiedy rodzice wyjeżdżają w interesach.

Szybko pokonała kilka ostatnich metrów dzielących ją od domu i weszła do środka przez otwór, w którym wcześniej znajdowały się drzwi. Artur i Ren podążyli jej śladem.

Hol wyglądał jak żywcem przeniesiony z lat siedemdziesiątych. Ściany pokrywała pomarańczowożółta tapeta we wzory, a na suficie trzeszczał oblepiony pajęczynami bambusowy wiatrak. Powietrze wionęło stęchlizną, jakby w domu latami nie otwierano okien.

– Halo?! – zawołała Cecily. – Czy ktoś mnie słyszy?!

Poza skomleniem psa nie było żadnej odpowiedzi.

Pod nogami Artura zatrzeszczało potłuczone szkło, kiedy chłopak przesuwiał przewrócony stojak na płaszcze. Podłoga pokryta była taką ilością kurzu, że ledwo było na niej widać puchaty dywan w kolorze awokado.

– Wygląda na to, że miałaś rację – zwrócił się do Ren. – Od dawna nikt tutaj nie mieszka.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i wepchnęła ręce w kieszenie spodni.

Razem przeszli przez korytarz do dużego pokoju, skręcili i stanęli przed zakurzonymi drewnianymi schodami prowadzącymi na piętro. Żałosny skowyt był teraz głośniejszy i Artur zaczął się obawiać, czy dadzą radę pomóc psu. Jeżeli zwierzę było poważnie rane, przydałby się weterynarz.

– Męczy się, biedactwo – powiedziała Cecily, wchodząc na schody. – Musimy się pospieszyć.

Stopnie głośno skrzyknęły i Artur pomyślał, że wybuch prawdopodobnie naruszył konstrukcję budynku. Wyobraził sobie, jak dach wali się im na głowy, i zwalczył silne pragnienie ucieczki.

Kiedy dotarli do szczytu schodów, nie zobaczyli psa, ale troje drzwi. Dwoje z nich było takie same jak drzwi na dole w korytarzu, natomiast trzecie – otwarte – wyglądały zupełnie inaczej. Były wykonane z bladego sękatego morskiego drewna i inkrustowane skorupami pąkli, tak jakby wycięto je z kadłuba starego statku. Jednak nie to było w nich najdziwniejsze.

Artur poczuł, jak włos jeży mu się na karku, kiedy zobaczył kłęby spowijającego drzwi szafirowego dymu. Promieniowała z niego jakaś energia – chłopak czuł ją w klatce piersiowej.

– A to co? – zapytała Ren łamiącym się głosem, świadczącym o tym, że jest zdenerwowana.

Zanim ktokolwiek zdążył udzielić odpowiedzi, zza drzwi dotarło do nich słabe szczeknięcie, na co Cecily zmarszczyła brwi ze zmartwienia.

– Pies jest w środku. Potrzebuje naszej pomocy.

Odchyliwszy się w bok, zaczepiła palcami o róg drzwi i pociągnęła z całej siły.

Przez ciało Artura przebiegł dreszcz, kiedy owionęło ich chłodne słońce powietrze. W pokoju było bardzo ciemno. Kilka metrów od nich stało biurko, na którym znajdowały się mała zgaszona świeca i stos starych, oprawionych w koniakową skórę notatników. Na zakurzonej podłodze poniewierały się książki, a w ciemnościach majaczyły obłe kształty mebli. Słychać było gwizd wiatru, być może dochodzący z wentylacji.

– Tutaj! – Cecily wskazała palcem na małą skamlącą kupkę białego futra, usiłującą wydostać się spod przewróconego regału. – Będziemy musieli podnieść to razem – powiedziała, podchodząc szybko do mebla.

Ren spojrzała na Artura, jakby wszystko to było jego winą.

– Przytrzymaj drzwi – burknęła, wlokąc się za Cecily.

Kiedy Artur wszedł w niebieski wir dymu, ten zamigotał złowieszczo. Chłopak natychmiast odczuł zimno w mózgu – dokładnie tak, jak wtedy, gdy za szybko zje się lody – jednak wrażenie to szybko ustąpiło. Rozejrzał się po podłodze w poszukiwaniu najcięższej wyglądającej książki, po czym umieścił ją ostrożnie w progu drzwi tak, by nie mogły się zatrzasać.

– Artur, złap z tej strony – zakomenderowała Cecily, chwytając za szczyt regału. – Podnosimy na trzy.

Artur ustawił się pospiesznie na pozycji i ugiął nogi w kolanach. Ren zajęła miejsce naprzeciwko.

– No dobra – powiedziała Cecily. – Jeden, dwa...

Artur zacisnął zęby.

– ...trzy!

Dźwignęli razem. Kilka pozostałych na półkach książek zsunęło się z regału i spadło na podłogę. Cecily zajrzała pod spód, aby ocenić efekt ich starań.

– Jeszcze troszkę wyżej...

Pies zaskomlał i bez ostrzeżenia wystrzelił między nogami Artura. Chłopak mógł jedynie trzymać regał i nie pozwolić mu spaść im na stopy. We trójkę ostrożnie postawili mebel z powrotem; mały pies pobiegł w stronę drewnianych drzwi, a następnie odwrócił się do nich przodem. Miał sterczące uszy, krótki ogon i zaniedbaną białą sierść, która układała się w łuki nad jego ciemnymi oczami, nadając pyskowi wyraz nieustającego zaciekawienia.

Cecily ukucnęła i wyciągnęła rękę.

– Nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy.

Pies delikatnie zawarczał, jakby chciał przekazać, że nie jest tego taki pewien. Powoli podszedł do dziewczyny i powąchał jej palce.

– Jest ranny? – zapytał Artur.

Na szyi psa zauważył czerwoną metalową obrożę, jednak zwierzak nie kulał i nie było widać, żeby miał jakieś rany. Chyba obejdzie się bez weterynarza... Może będą mogli oddać zwierzę policji i zdążyć jeszcze do szkoły przed pierwszą lekcją.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Cecily. – To chyba jeszcze szczeniak, jest naprawdę mały.

Odczekała chwilę, aby pies się uspokoił, a następnie wzięła go na ręce.

Artur obejrzał obrożę, szukając zawieszki, i natknął się na obsydianowy pryzmat wielkości kciuka zawieszony obok grawerowanej metalowej adresówki. „Obłok. Pies rasy west highland terrier. Płeć męska” – głosił napis na blaszce. Pod spodem znajdował się dziwny symbol złożony z trzech kształtów: trójkąta równobocznego, w który wpisane były sześciokąt oraz niewielki plus. Artur zauważył, że podstawa pryzmatu ma kształt sześciokąta, w którym wytrawiono inicjały HW.

– A więc futrzak to facet – podsumowała Ren, drapiąc psa między uszami. Był to najprzyjaźniejszy gest, jaki Artur miał okazję do tej pory zobaczyć w jej wykonaniu. – Miło cię poznać, Obłoku.

Obłok szczeakał i zwracał pysk kolejno do każdego z nich, machając przy tym ogonem.

– No dobra – powiedziała Cecyli z triumfalnym uśmiechem. – Lepiej stąd chodźmy. Wkrótce będzie tu policja.

Kiedy odwrócili się do wyjścia, Artur poczuł ulgę. Biorąc pod uwagę okoliczności, czuł się dziwnie zadowolony z siebie. Nie dość, że bez przeszkód uratowali Obłoka, to jeszcze udało mu się nie zrobić z siebie głupka przed Ren i Cecyli – nie licząc upadku twarzą na chodnik.

Zbyt późno zorientował się, że powietrze zaczęło drgać. Jedno spojrzenie na drewniane drzwi wystarczyło, by przekonać się, że książka, którą umieścił w progu, zniknęła, a niebieski dym wiruje teraz szybciej.

W jednej sekundzie na biurku zapłonęła świeca, a drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Dało się słyszeć głośnie „klik”.

Po czym wejście zniknęło.